№ 22.

Warszawa.

Dnia 20 Maja (1 Czerwca) 1856.

Niedziela

3 PO ŚWIĄTKACH.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś nam w cudownym Sakramencie męki Twojéj pamiątkę zostawił, daj prosimy, abyśmy tak święte ciała i krwi tajemnice czcili, iżbyśmy pożytków z odkupienia naszego nieustannie doznawali. (Modlitwa Kościelna na niedzielę 2gą po Świątkach).

Pieśń przy siejbie.

Rzucam ziarno w Imię Boże!
Oby pięknie rozrodziło!
Oby wzrosło w bujne zboże,
I nam pracę nagrodziło!

Wszak to Boskie słonko ciepłe,
Jego wietrzyk, deszcze, rosy:
On rozgrzeje kiełki skrzepłe,
On odwilży spiekłe kłosy.

Siejmy bracia w ziemię zboże,
Siejmy w serca ziarno cnoty;
Zebrać plony Bóg pomoże,
Doda siły i ochoty.

A jak pole użyznione
Wynagradza człeka chlebem,
Serce cnotą uświęcone,
Darzy wiecznem szczęściem, Niebem.

Pieśń Oracza.

Już skowronek wiosnę głosi,
I ja w polu orzę.
On się z pieśnią w Niebo wznosi,
Ja klękam w pokorze.

Nie zazdroszczę skowronkowi
Że on latać może,
Kiedy wolno i człekowi
Wznieść myśl k' Tobie Boże!

Z Twojéj Panie świętéj woli
Ptaszkowi swoboda,
Człeku praca w ciężkiej doli,
Lecz w Niebie nagroda,

Wszystkie wiosny i jesienie
Ja orzę, a orzę,
Pracy, znoju się nie lenię,
Poszczęść tylko Boże!.

Pielgrzymka do Jasnéj-góry

(w Częstochowie).

—

Wskromnym domku na przedmieściu miasta Wielunia mieszkał przed kilku laty tokarz Jakób, człowiek znany z rozsądku i poczciwości. Raz, wieczorem, gdy na dworze było wietrzno i chłodno, w mieszkaniu jego na kominie buzował ogień i oświecał wesoło dość obszerną, czystą, wybieloną izbę, oraz stojący na uboczu warsztat tokarski. Kominek otoczyła nieliczna rodzina: ojciec, który dopiero dzienną pracę ukończywszy, zapalił fajeczkę; daléj żona jego przędząca na kołowrotku; wreszcie dwóch chłopczyków, z których starszy trzymał książkę do nabożeństwa i przyglądał się z zajęciem obrazkowi przedstawiającemu Klasztor Częstochowski.

—„Mój Boże! jakbym ja tam chciał być kiedy“, odezwał się chłopczyk trzymający książkę, „tam zapewne jest co widzieć?“

—„Czemu nie, mój Jasiu, rzekł ojciec, da Pan Bóg doczekać, jak dorośniecie, to was obu wyprawię z tutejszą kompaniją na odpust do świętego miejsca, ale wcale nie dlatego, abyście się tam mieli tylko przyglądać pięknym rzeczom; pierwszą bowiem myślą każdego pielgrzyma to być powinno, aby przed Cudownym Obrazem Matki Najświętszéj upaść na twarz z pokorą, i błagać Jej gorąco o wyproszenie sobie łaski i przebaczenia grzechów u Boga.“

—„A może też tam nieczęsto odpusty bywają?“ zagadnął Antoś, młodszy synek tokarza.

—„Owszem, dosyć często: przypadają bowiem corocznie na każde święto N. Panny Maryi, i na Zielone świątki, t. j. na Zesłanie Ducha świętego; najliczniejsze zaś zgromadzenia ludu bywają tam od Zielonych świątek do Wszystkich świętych. Zresztą trzeba wam wiedzieć, że według postanowienia Ojca-świętego, każdego dnia pielgrzymi dostąpić tam mogą odpustu, byle tylko przybywali w szczeréj i pobożnéj myśli.“

—„Proszę ojca,“ rzekł Jasio, patrząc na obrazek, „ludzie mówią, że wieża Częstochowska jest tak duża, że z niéj i Kraków widzieć można?“

—Tak nie jest, mój synu, bo choćby i była tak wysoka, to wzrok nasz byłby za słaby, aby przejrzeć tak daleką przestrzeń; ale to pewna, że z niéj na kilka mil dokoła widzieć można okolicę, bo wieża klasztoru raz że jest bardzo wysoka, a potem, że stoi na dość wyniosłéj górze.“

—„A dlaczego też to mój ojcze, nazwali ją Jasną-górą?“

—„Zapewne dla tego, że ją zdaleka jasno i wyraźnie widzieć można.“

—„Mój Boże! przerwie Jasio, żebym ja też to jaknajprędzéj urosł,“ a odwróciwszy kilka kartek książki, pocałował pobożnie znajdujący się w niéj obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj, i zapytał po chwili:

—„Mój Ojcze! dlaczego to na każdym obrazku Matki Boskiéj Częstochowskiéj są te dwie kresy wpoprzek twarzy?“

—„Jestto pamiątka z bardzo dawnych czasów, rzekł Jakób. Przed laty bowiem, jak mi znajomy ksiądz Paulin na Jasnéj-Górze opowiadał, za Króla Jagiełły, lat temu przeszło czterysta, nieprzyjaciele świętéj wiary napadli klasztor, zrabowali go, a zabiwszy kilku księży, Obraz dwukrotnie cięli szablą po twarzy Najświętszéj Panny. Odtąd też, podobno, żaden malarz tych dwóch kres zatrzeć nie mógł. —Jest tam w klasztorze obraz przedstawiający to zdarzenie.“

—„O! jacy to źli ludzie byli, rzekł Antoś, ja, żebym był królem, tobym im tego nie darował.“

—„Zapewne, że to byli zbrodniarze; otrzymali oni téż zasłużoną karę, tu jeszcze na ziemi, bo żadna zbrodnia na świecie ukryć się nie może.“

—„Mój ojcze kochany, rzekł Jasio, dlaczego ten klasztor opasują tak wysokie mury, jak to widać na tym obrazku? tu u nas żaden kościół nie ma takich murów.

—„A czy też dawno stoi ten klasztor,“ przerwał brat młodszy?

—„Zaraz, zaraz, rzekł ojciec, nie wszystko odrazu, powoli, to się dowiecie o tém wszystkiém, co ja sam słyszałem od wspomnionego księdza na Jasnéj-górze, ale to chyba innym razem, bo już dość późno, a to dosyć długie opowiadanie.“

—„Mój mężu! opowiedz im, rzekła, wstawiając się za dziećmi, żona, ja sama tak lubię słuchać, jak ty czasem opowiadasz o tém świętem miejscu.“

—„No, przyłóż drewek na ogień, Jasiu, opowiem wam, tylko pilnie słuchajcie.“

„Będąc jeszcze czeladnikiem, po powrocie moim do Wielunia z wędrówki, uczyniłem so-

bie ślub, że pójdę do Częstochowy na odpust, aby tam błagać Cudownéj Matki Boskiej o dopomożenie mi w moim zawodzie i zamiarze, jaki miałem przed sobą. Myślałem bowiem wówczas o założeniu na swoję rękę warsztatu tokarskiego i chciałem pojąć za żonę teraźniejszą waszą matkę, a któréj rodzice zdragali się spełnić moje życzenia, mówiąc, że jeszcze nie mógłbym ją utrzymać, a może też chcieli wydać ją za kogoś zamożniejszego. Z ufnością więc w Boga i pomoc Orędowniczki naszéj wyszedłem z kompaniją wieluńską, lat temu 10, do Częstochowy. Było to na parę dni przed świętem Skaplerza Najświętszéj Panny Maryi. Kompanija nasza była liczna, nieśliśmy chorągwie Świętych Pańskich, a na przedzie obraz Bożéj Rodzicielki; drogą śpiewaliśmy do Niéj pieśni, a słońce ślicznie nam ciągle świeciło i złociło po polach dojrzałe już zboże. Jeszcze było daleko do Częstochowy, a już ujrzeliśmy wysoką wieżę klasztoru. Nie uwierzycie dzieci, jakiéj radości doznałem, zobaczywszy piewszy raz to cudowne miejsce. Padłem z drugiémi na kolana, i powitaliśmy nabożnemi słowy Królowę nieba i ziemi.

Nazajutrz po przybyciu na święte miejsce, na pierwszy odgłos dzwonka na wieży, poszedłem z drugiémi do kościoła; ze zdumieniem oglądałem ogromne mury i wały ziemne, otaczające klasztor dokoła, a wchodząc przez cztery bramy do klasztoru, ledwo docisnąć się mogłem, dla wielkiego natłoku ludzi, do kaplicy Najświętszéj Panny. Dzieci! jak tam będziecie, coto za szczęście grzeszny człowiek uczuje, gdy ujrzy ten cudowny obraz Matki Najświętszéj, i na twarz przed Nim upadnie, co to za pociechę ztamtąd w sercu uniesie! O! jakże prześlicznym wtedy wydawał mi się ten Obraz, jakaż łaskawość w świętych oczach królowéj Nieba i Jéj Syna jaśniała, a zdobione drogiemi kamieniami sukienki i korony Obrazu aż wzrok mi przyćmiewały. Widok pobożnych, jednych klęczących z pokorą, drugich krzyżem leżących, śpiewy uroczyste, wszystko to wzruszyło mnie do żywego. Spłakałem się rzewnemi łzami, i widziałem tam wiele osób tak jak i ja rzewnie płaczących.

Aby dostąpić zupełnego odpustu, po gorących modłach, wyspowiadałem się i przyjąłem Kommuniję świętą. Po summie oglądałem piękne ołtarze, których tam do 20tu się znajduje, daléj obrazy i relikwije Świętych; byłem także na wieży aż pod samym jéj szczytem, i widziałem ztamtąd ludzi rozsianych po całéj górze, a tak małych, jakby niezliczone kłosy zboża. — Odwiedziłem potem znajomego mi księdza w klasztorze. Ksiądz Maciéj, nie widząc mnie dawno, przyjął mnie z otwartemi rękami, oprowadzał mnie po klasztorze i pokazywał różne obrazy na ścianach, przedstawiające pamiętne zdarzenia klasztoru, portrety królów polskich i napady nieprzyjaciół na Jasną górę".

— „O! powiedz nam, powiédz, kochany ojcze, o tych napadach", wykrzyknęli razem bracia.

— „Otóż, ksiądz Maciéj przywiodłszy mnie do jednego obrazu umieszczonego nad kratą kaplicy Najświętszéj Panny, rzekł do mnie: „Obraz ten przedstawia oblężenie klasztoru przez Szwedów przed 200 niespełna laty, za panowania Jana Kazimierza króla polskiego. Ten dumny rycerz na dzielnym koniu, jestto Miller, wódz szwedzki; daje on rozkazy do szturmu żołnierzom swoim, którzy oto jedni w czerwonych ubiorach, drudzy w stalowych zbrojach pędzą pieszo i konno pod mury klasztoru. Tam znowu na murach jaśnieje dzielna postać przeora Paulinów Augustyna Kordeckiego. Sława tego świątobliwego i walecznego męża, mówił daléj ksiądz Maciéj, nie zaginie nigdy: on to natchniony pomocą Boską i łaską Najświętszéj Panny, z szczególną wytrwałością bronił do ostatka téj twierdzy, i miał ożywić niepokonaném męztwem szczupłą załogę klasztoru; albowiem 400 obrońców jego, wytrzymawszy śród zimy 40 dniowe oblężenie i dokazując cudów waleczności, odparło liczniejszych 50 razy Szwedów, którzy będąc już z przyczyny niezgody szlachty, panami całego kraju, od téj niewielkiej warowni ze wstydem i znaczną stratą ludzi odstąpić musieli. — Były tu jeszcze i późniejsze napady nieprzyjaciół, mówił daléj poczciwy ksiądz, ale klasztor doznając widocznéj opieki Królowéj nieba, nigdy prawie nie szwankował. Z owych to trwożliwych czasów pozostało wiele pamiątek w skarbcu naszego klasztoru".

— „Jaki to skarbiec, prosimy ojca," spytali bracia.

— „Zaraz wam opowiem. Ksiądz Maciéj, chcąc mi już wszystko pokazać, zaprowadził mnie do skarbca, to jest miejsca w klasztorze, gdzie są zebrane pamiątki z dawnych czasów, i liczne da-

ry po przodkach naszych. Tamto królowie, biskupi, możne pany i panie, szlachta, wszyscy, już to dopełniając ślubów, już téż z szczeréj pobożności lub opieki nad klasztorem, składali dary dla świętego ołtarza. A co to za śliczne rzeczy widziałem w tym skarbcu: bogate ornaty, złote kielichy i monstrancye, korony złote z brylantami od Królów polskich, lub Ojców świętych klasztorowi w darze przysyłane; daléj sukienki cudownego Obrazu drogiemi kamieniami sadzone, niemniéj ubiory i oręże dawnych rycerzy i wiele innych pięknych rzeczy. Bardzo mnie tam, między innemi, zajęła ogromna monstrancya szczerozłota, którą trzech księży podczas wystawienia podtrzymywać musi, a która waży 22 funtów złota i 5 funtów drogich kamieni. „Przodkowie nasi byli pobożni i hojni, rzekł kiądz Maciéj; wszyscy polscy królowie i królowe odbywali tu pielgrzymki, mieli klasztór w szczególnéj swéj opiece, i składali tu bogate dary. Z skarbcu tego Jan Sobieski wziął szablę z błogasławieństwem, idąc pod Wiedeń na Turków, których też pobił i Chrześcijaństwo od nich oswobodził, lat temu będzie sto kilkadziesiąt“. A pokazując mi krzyż srebrny z dwiema osobami świętemi po bokach i monstrancyę także srebrną pięknie zrobioną, rzekł do mnie: „jestto praca rąk własnych mądrego i dzielnego króla polskiego Zygmunta Igo, a ten ornat ze złotéj lamy perłami tak sztucznie naszywany zrobiła cnotliwa królowa Jadwiga, żona Władysława Jagiełły, i w darze tu go złożyła. I ten pierścionek mosiężny ze szkiełkiem w środku, widać dar jakiegoś biedaka, jest dowodem szczeréj i pobożnéj chęci. Dziś, dodał ksiądz Maciéj, z przyczyny wojen, potrzeb krajowych ledwo się tu połowa tego znajduje, co przodkowie nasi przed laty tak hojnie sypali“.

—„Proszę ojca, odezwał się Jasio, jak też to ojciec mógł spamiętać tyle różnych, a pięknych rzeczy?

—„Moje dziecko, wiadomości o tak sławném i świętem miejscu raz słyszane zatrzymują się nadługo w pamięci, to jedno, a potém, że ksiądz Maciej na prośby moje spisał mi w krótkości prawie to wszystko, coście odemnie słyszeli, a co sobie dla niezapomnienia często odczytuję. W tych to notatkach dobrego księdza to jeszcze stoi, że król polski Zygmunt IIIci, żyjący przed 200stu przeszło laty, Klasztor Częstochowski prawie zupełnie przerobić i powiększyć kazał, a syn jego Władysław IVty opasał go murem, obwarował wieżami i wałem, oraz wiele w nim upiększeń i przybudowań poczynić kazał. Od tych też czasów Klasztor ten mało się zmienił, wyjąwszy, że go późniéj jeszcze mocniéj obwarowano. Daléj, opisał mi ksiądz Maciéj, że pierwszą pamiątkę założenia Klasztoru i złożenia w nim cudownego obrazu, obchodzono tam uroczyście w 300ta lat dopiero, a potém, że co 100 lat ciągle się ponawia, podobnie jak i koronacya świętego obrazu.“

—„Mój Boże, mój Boże, jakżebym ja tam chciał być, i to wszystko widzieć,“ rzekł po chwili starszy synek Jakóba, a przypatrując się jeszcze obrazkowi, zapytał: „czy też Obraz cudowny w Częstochowie podobny jest do tego?“

—„Podobny nieco, odpowiedział ojciec, ale posłuchajcie końca mego opowiadania. Ksiądz Maciéj, idąc ze mną do celi swojéj, zboczył ku drzwiom marmurowym prowadzącym do kaplicy Najświętszéj Panny, wskazał mi nad niemi napis tyczący się historyi Cudownego Obrazu, i objaśnił mi go obszerniéj. Obraz ten, rzekł, jest wiernym wizerunkiem Najświętszéj Panny, albowiem malował go z niéj, w pierwszych latach Chrześcijaństwa święty Łukasz Ewangielista, na blacie cyprysowegó stolika, przy którym się Matka Boska modliła. Obraz ten był długo w Jerozolimie, potém w Konstantynopolu, a po upływie wielu set lat pewien Książę złożył go w swoim zamku na Rusi Czerwonéj (1), gdzie długo słynął łaskami. Ztamtąd gdy Władysław Książe na Opolu Szląskim, lat temu blisko 500, chciał go przewieść do swojéj ziemi, natchniony od Boga, zostawił go na Jasnéj-górze w małym kościołku, a wybudowawszy na tem miejscu Klasztor, i sprowadziwszy OO. Paulinów z Węgier, oddał ich opiece Cudowny Obraz Matki Najświętszéj, która wiele łask świadczyła przodkom naszym, i teraz je świadczy szczerze o nie proszącym. Miliony też, dodał, ludu tak naszego, jako i z dalekich stron przybywającego, składając tu bezustannie ze łzami swe troski doznają pocieszenia, i proszą Matki Boskiéj o orędownictwo za sobą u Syna swego; a lat temu trzydzieści, na drugiéj już uroczystości Koronacyi Cudownego Obrazu koronami z Rzymu poprzednio od Ojca świętego przysłanemi, zebrało się tu z różnych stron narodu do dwóch kroć sto tysięcy.“

(1), W zamku Bełzkim w dzisiejszéj Galicyi.

Pożegnałem dobrego i uczynnego księdza; nakupiwszy zaś różnych pamiątek Częstochowskich, a co najpiękniejszych dla panny Rozalii jeszcze wówczas, a dziś waszéj matki, wracałem z moją kompaniją ku domowi z jakąś otuchą w sercu: jednakże, gdy straciłem z oczu widok klasztoru, w oczach mi łzy słanęły, jakby z tęsknoty za opuszczonemi najmilszém miejscem.

Gdym przybył do domu, rzeczy jakoś pomyślniéj szły dla mnie; pokrzepiony bowiem nadzieją pomocy Najświętszéj Panny oświadczyłem się jeszcze raz rodzicom Rózi; ci wnosząc z mojéj mowy, że to ostatnia już prośba moja, i mając uwagę na ciągły smutek córki, nie odrzucili już więcéj moich oświadczyn. Bóg nam pobłogosławił w wspolném naszém pożyciu: założyłem na swoję rękę tokarnię, i idzie nam dotąd przy usilnéj pracy, dzięki Bogu, nienajgorzéj.

Teraz, moje dzieci, idąc na spoczynek, klęknijcie, zmówcie pobożnie paciorek i dziękujcie wraz ze mną łaskawéj Pannie Maryi za dobrą waszą matkę, bo tylko sprawie téj Najświętszéj Pani to przypisuję, iż rodzice Rózi nie upierali się już więcéj w oddaniu mi jéj za żonę. Gdy zaś podrośniecie, a spotka was jaki smutek lub nieszczęście, natenczas udawajcie się z pokorą i gorącemi modły pod opiekę téj Pocieszycielki strapionych, a prośby wasze z pewnością wysłuchanemi zostaną.

Dobre Serce.

(Zdarzenie prawdziwe).

Że rodzice odejmują nieraz kęs chleba od ust swych, aby nim nakarmić łaknące dziecko, nie ma w tem nic zadziwiającego.—Opatrzność, niejako prawem nakazała, uczucie to, tkliwym rodzicom, natchnęła nawet tym instynktem wszystkie zwierzęta.—Jeżeli więc matka lub ojciec, dzieli się pożywieniem z swem dzieckiem, dopełnia tylko obowiązku natury, a czyn taki, zbyt pospolity, uwagi nawet na siebie zwracać nie może.

Inna jest rzecz zupełnie, gdy kto powodowany uczuciem miłości bliźniego, owéj cnoty, jaką nam nauka chrześciańska, za prawidło życia naszego przepisuje, jaką, dziewięćdziesięcio letni Jan Swięty Apostół i Ewangelista uczniom swoim nakazywał, bezustannie powtarzając: „miłujcie jedni drugich“, posuwa dobroć serca do tego stopnia, że z rozkoszą oddaje od ust swych, kęs chleba łaknącemu bliźniemu — jest to bez wątpienia czyn, znamionujący uczucia, naszego Boskiego mistrza, jakże zatem godnym uwielbienia staje się, jeżeli nadto jest spełniony, przez istotę, w któréj wyobrażenia obowiązków życia chrześcijańskiego, nie miały jeszcze dość czasu się rozwinąć, słowem przez dziecko, w którem dobroć serca, do najszczytniejszego może wzniosła się stopnia.

W dniu 1 lutego b. r. około godziny 9 zrana, podczas mroźnego wiatru i pruszącego potrosze śniegu, biegł trotoarem chłopczyk, lat 9 do 10 mieć mogący.— Miał na sobie spencerek szary, spodnie dreliszkowe, u kostek tasiemkami obwiązane, czapczynę z barankiem, nogi bose w wielkich pantoflach, z starych na wysokich korkach butów, wyciętych, i skórzany fartuch w tyle spięty, świadczący najwyraźniéj, o professyi szewca.

Kawał chleba razowego, za nadrzem utkwiony, uzupełniał strój chłopca, który skulony i drżący od zimna, biegł, klapiąc pantoflami, i chuchając w palce u rąk.

Ponieważ wypadło mi iść w tę samę stronę, którą opisany biegł chłopczyna, długo przeto miałem go na oczach, a pora ranna, mało osób idących, wreszcie dzień mroźny i posępny, sprawił, że kiedy innym razem, możebym jak wielu innych, uwagi na niego był nie zwrócił, wtedy jakoś wabił oko moje, tak, że mimowolnie chód mój miarkowałem z jego biegiem, i dość długo, razem jedną postępowaliśmy drogą.

Wkrótce jednak spostrzegłem, że to towarzystwo moje, nie spodobało się szewczykowi spojrzał mi w oczy przenikliwie, i raz to się opóźniał, to znowu biegu przyspieszał, mijając mnie niby z obojętnością, zawsze jednak zpod oka badawczo na mnie spoglądając.

Tak doszliśmy do jednego ze znanych domów miejskich, gdzie się szewczyk raptem na trotoarze zatrzymał, gniewliwie na mnie spojrzał, i drepcąc w miejscu, potężnie tłukł pantoflami o bruk.

Minąłem go z pozorną obojętnością, a uszedłszy kilka kroków, gdy już pewny byłem, że na mnie nie zważa, zatrzymałem się, ciekawie śledząc go oczyma.

Wtedy ujrzałem, że mój szewczyk, obejrzawszy się poprzednio na wszystkie strony, poskoczył ku zamkniętemu oknu domu, i dość głośno zawołał: Zosiu!...., co kilka razy powtarzał, wracając zawsze na dawne miejsce, i niemiłosiernie tłukąc o bruk pantoflami.

Niedługo, okazała się w oknie dziewczynka około lat 8 mieć mogąca, która wdrapawszy się na okno, otworzyła w górze lufcik, i dała się tym sposobem widzieć w całéj swéj postawie.

Szewczyk wówczas poskoczył raźno ku oknu a spiąwszy się jak tylko mógł najwyżéj, podał dziewczynce glon chleba, która odebrawszy go, pokłoniła mu się od ust ręką, i spiesznie lufcik za sobą zamknęła.

Popatrzył jeszcze chwilkę szewczyk na okno, a potem wykrzyknąwszy głośno tyrola, pomknął trotoarem, o ile mu klapiące dozwoliły pantofle, właśnie w tę stronę gdzie ja stałem.

Gdy już był blisko mnie, dobyłem kilka groszy z kieszeni, i podając mu, rzekłem: Chłopcze, to dla ciebie, ale powiedz mi, co to za jedna ta Zosia, z którąś w oknie rozmawiał.—Zdziwił się zrazu chłopiec, popatrzył na mnie z niedowierzaniem, rzucił okiem na pieniądze w zmarzniętą garść włożone, potém rzekł obojętnie: „Eh, widzi pan, to w téj kamienicy, gdzie ja jestem u majstra, mieszkała pani Antoniowa, co się praniem trudniła, i miała córeczkę, ot tę samę Zosię, co się pan o nią pyta.— Ale nagle kobiecisko zaniemogło, i już będzie dwa, czy trzy tygodnie z domu wyjść nie może, by na chleb zapracować, a stąd często brak w domu czuć się im daje. Widzę ja ją co niedziela w kościołku na mszy, otóż powiedziała mi raz, że czasem bywa głodna; — a ponieważ majstrowa, daje nam czeladzi, co dzień po porządnym glonie chleba, więc ja co drugi dzień, taki glon przynoszę Zosi, i oddaję jéj jak wychodzi z kościoła; ale dziś się spóźniłem, bom chodził do miasta z robotą, i musiałem aż do okna na Zosię wołać.“— I to powiedziawszy, wykrzyknął znowu tyrola i pobiegł wpoprzek ulicy, pozostawiając mnie w rozrzewnieniu i żalu, że nie mogłem bliżéj powziąć wiadomości o tak zacnym chłopczyku, którego dobroć serca godną uwielbienia, uznałem za zasługującą na podanie za przykład tym, którzy nieraz na potrzeby bliźnich są głuchymi.

Majówka

—

Piękny dzień majowy sprowadził w roku zeszłym dość liczne towarzystwo chciwych świeżego powietrza Warszawian, na ulubioną i powszechnie uczęszczaną Saską Kępę.

Towarzystwo to składało kilka rodzin zamożniejszych rzemieślników i fabrykantów, oraz zaproszeni do wspólnéj zabawy przyjaciele i domownicy.

Na jednéj z obszerniejszych kolonij, staranniéj dla przyjęcia gości urządzonych, rozłożono się, jak to mówią, obozem.—Resztki szynek, ozorów, indyków i innych zapasów, nadto puste butelki po winie i bawarze, rozstawione na kilku niesprzątniętych jeszcze stołach, świadczyły, że apetyt i pragnienia należycie były zaspokojone.— Zabawa szła z całą swobodą.

Chłopaki ścigali się na drewnianych koniach, zrywając w pędzie, zawieszone kółka; dziewczęta kołysały się, krzycząc przy każdem wyrzuceniu w górę huśtawki. — Dorosłe panny i młodzież, korzystając z wędrownéj orkiestry, którą składali Lejbuś na skrzypcach i Icek na basetli, wywijali mazura na zielonéj murawie.— Mamunie poglądając na zwinność i urodę swych córek i synów, prawiły sobie wzajemne grzeczności i pochwały. Starsi rozłożywszy się na rozpostartych dywanach z cygarami, fajkami i koszem bawara w środku, prowadzili żwawą rozmowę, któréj początek dała piękna Anusia, córka pana Pawła, przybywająca z poduszką skórzaną dla ojca.— Po odejściu jéj p. Józef, sąsiad p. Pawła odezwał się napół z przekąsem.—„Że też u tego p. Pawła nawet i dzieci piękniéj wyglądają jak u innych.— Patrzcie no, ta panna Anna, wszakże to jak księżniczka, co za uroda, co za figurka, a jak w buzi, aż rozkosz, gdy się odezwie, bo to i grzecznie i rozsądnie, i po niemiecku i po francuzku kiedy potrzeba;—a zobacz no książki rachunkowe prowadzone przez nią— na bok buchaltery i rachmistrze—a skosztuj barszczu lub zrazów, jéj rączką przyrządzonych; aż mi ślinka idzie, gdy przypomnę sobie ow obiadek, cośmy na Bielanach jedli w zeszłym roku. A cóż dopiero powiedzieć o starszym jego synu Stanisławie. Wszak to panie! dojrzały człowiek, choć patrzy na młokosa. Pogadaj no z nim o fabrykach naszych, o ulepszeniach, o nowych wynalazkach, sypnie ci panie jak z rękawa, a jak gładko, jak przystępnie, aż mi wstyd panie staremu, że od

niego nieraz uczyć się muszę, i słucham jak nauczyciela.— Bo też pan Paweł kierował go jak na ministra,—niedość że do szkół posyłał przez lat sześć, czy siedm, ale jeszcze sypał rublami i francuzom i niemcom i metrom muzyki i tańca, i Bóg wie komu jeszcze.— Dobrze, żo to wszystko przylgnęło do niego, ale prawdę mówiąc, czy nie zanadto tej mądrości dla fabrykanta?"

—„Oj! że zanadto, to zanadto" odezwał się zniemczałą polszczyzną, puszczając kłęby dymu, opasły pan Krzysztof.—„Już to temu panu Pawłowi to my wszyscy powinniśmy wytrzeć kapitułę za te jego wybryki, nietylko względem dzieci, Bóg z nim, to jego, ale względem czeladzi i chłopców u niego pracujących.— Wszak to on jak ksiądz od rana do wieczora prawi im morały, uczy, examinuje, i jeszcze na dobitkę przyjął do nich bakałarza, który codziennie po *fejrandzie* kilka godzin morduje ich czytaniem, pisaniem i rachunkami, jak gdyby niedość było Szkoły Niedzielnéj.— Na licha się to przydało, bałamuci nam tylko naszą młodzież, która podług mnie dość, żeby miała zdrowe ręce i oczy, i zapracowała na ten drogi chleb, którym ją karmić musimy.— Ot ja dzięki Bogu i sam nie mądry, i na synów swoich niewiele wydałem, a z głodu nie umieram, nie bankrutuję, i łokciami nie świecę. To tylko fanfaronada, małpiarstwo, dziwactwo, chęć błyszczenia i wywrócenia dawnych zwyczajów, dawnego porządku."

Pan Paweł, który dotąd z uśmiechem przyjmował wszystkie te uwagi, widząc zapalającego się gniewem pana Krzysztofa, przerwał z całą spokojnością. —„Być może, kochany panie Krzysztofie, że jestem dziwakiem i jeszcze czem gorzéj;— ale cóż ja temu winien, że moje widzi mi się różni się od twego, — że nie mogę patrzeć zimno na los młodzieży, którą przyjąłem na naukę, na brak ogólny szacunku dla rzemieślnika. Przyczynę tego, upatruję w braku nauki i ukształcenia im potrzebnego.

—A cóż to ja temu winien, odrzekł gniewnie pan Krzysztof, że chcesz od rzemieślnika ukształcenia i jakiejś tam książkowéj nauki, albo że nam do nauki oddają takich co czytać i pisać nie umieją, czy to ja mam być ich bakałarzem, i pracować nad tą hołotą?

—Nie gniewaj się panie Krzysztofie za moję otwartość, gdy ci wręcz powiem, naprzód, że to, czego pragnę, nie jest ani zbyteczném, ani przesądném, bo zaprzeczyć nie możesz, że człowiek, co więcéj umie, więcéj wart od nieuka;— powtóre, na drugi twój zarzut, jakobyś nie winien, że nam oddają nieuków do rzemiosła, i że nie masz obowiązku ich uczyć,—odpowiem również otwarcie,—że jako majster, i przewodnik powierzonéj tobie młodzieży, jesteś za nią przed Bogiem i przed ludźmi odpowiedzialny, i bynajmniej nie możesz się wymawiać od opieki i czuwania nad ich losem i wykształceniem. Powszechnie prawie u nas majstra nie obchodzi, czy chłopiec wchodzący do terminu ma pierwsze nauk początki; przyjmuje bez wyjątku wszystkich zgłaszających się, — a gdyby rodzice lub opiekunowie wiedzieli, że napotkają trudność w oddaniu chłopca do terminu, który nie umie czytać i pisać, wówczas byliby troskliwsi o nastręczenie mu téj nauki, tem więcéj, że tyle mają sposobności tak tu w Warszawie, gdzie liczne są szkółki elementarne, Ochrony dobroczynne, jako też i na prowincyi. Nie myśli również o tém majster, czy czas wolny od pracy terminator i czeladnik poświęca nabywaniu użytecznych wiadomości? Szkoły Rzemieślniczo-niedzielne mało go także zajmują, bez względu, że przy dobrych chęciach terminatorowie mogliby odnosić z nich prawdziwe korzyści.— Nic więc dziwnego, że tak w wychowaniu zaniedbany terminator, wyzwolony na czeladnika, prócz większéj tylko wprawy w robocie, zostaje jak dawniéj nieokrzesanym, nie znajduje w czytaniu pożytecznych książek przyjemności, bo albo wcale nie umie, albo z wielką trudnością może je czytać.— Czas więc wolny od roboty po największej części przepędza w towarzystwie, jak on nieokrzesanem i to po szynkach, lub gospodach, a te na teraz zaniedbane przez majstrów, pod względem dozoru i przestrzegania należytego w nich zachowania się, stały się podobno tylko przytułkiem dla najgorszej czeladzi, którą majstrowie wypędzają z warsztatów za próżniactwo i opilstwo; i tam właśnie pod wpływem tych zepsutych ludzi, marnując pieniądz i zdrowie, utracają potrzebne do pracy siły, i więcéj jeszcze na umyśle tępieją.

Czeladnik zostawszy majstrem, tak samo prowadzi swoich terminatorów, a tak ważny w społeczeństwie stan rzemieślniczy, na nieszczęście zostaje dotąd w naszym kraju, w zupełnej ciemnocie i upośledzeniu.

—„Gadaj zdrów morały, androny," odezwał się znudzony Krzysztof, — „dobre to na ka-

zanie, ale nie dla nas — i cóż lepszegoby było z twojemi naukami i książkami? ręczę że one nie dadzą więcej pieniędzy za towar i robotę; a to grunt-geld, geld, to mądrość, na tem świat stoi.

—„Nie przeczę panie Krzysztofie, że pieniądze mają wielką wartość u ludzi, i o nabycie ich dbać należy — i jeżeli nie z innej racyi, to już z własnéj twojéj, pieniężnéj, dowodzić ci będę, jaką krzywdę zadajemy własnemu interesowi, lekce ważąc naukę w rzemieślniku.

Rzemieślnik nieposiadający odpowiednich wiadomości, nie może na większą skalę zakładu swego rozwinąć, brak znajomości czytania, pisania i rachunków, zmusza go pewierzać swe interesa ludziom obcym, często nadużywającym jego zaufania.— Przy ciągłem rozwijaniu się i udoskonaleniu wszelkich rzemiosł i rękodzieł, rzemieślnik nie będąc zdolnym ulepszać odpowiednio swego przedsiębierstwa, zawsze na jednym stopniu w swem rzemiośle pozostaje, a prześcignięty przez mających naukę i zabiegłość, którzy nauczyli się taniéj i lepiej od niego produkować, niezadługo nie znajdzie odpowiedniego zarobku, i stopniowo do niedostatku a nawet i nędzy wraz z całą rodziną przychodzi".

—„Brawo, brawo! panie Pawle"— odezwali się inni towarzysze, zdaje się, że tym argumentem zbiłeś pana Krzysztofa, bo zamiast odpowiedzieć, zalewa swoję złą sprawę bawarem.

—„Nie zupełnie złą, — oddychając po wypróżnieniu kufla, odrzekł pan Krzysztof, —„ale wierzę trochę, że może być lepiéj z tem, co on mówi, bo w téj chwili stanął mi w myśli jego zakład, który mu dwa razy więcéj przynosi, od czasu jak tam pozaprowadzał te swoje maszyny, wodociągi i inne wymysły, — ale niechno ten mędrek poda radę, jak zrobić to, co on mówi, żeby odrazu przyjść do tej doskonałości i bez takiéj pracy, jaką on sobie zadaje.

—„Z wielką łatwością, kochany panie Krzysztofie.— Lekarstwo na to złe mają w ręku swojem sami rzemieślnicy.— A majstrowie niepowinni przedewszystkiem przyjmować do terminu chłopców niemających pierwszych początków nauk, w każdym razie winni dopilnować i zachęcić lub zniewolić ich, aby w dni świąteczne uczęszczali regularnie do szkół rzemieślniczych; przy takich początkach łatwiejsze będzie dalsze ich ukształcenie, gdy zostaną czeladnikami, lub majstrami. Ci nawet czeladnicy którzy dotąd pozostają w zaniedbaniu co do nauk, — mają jeszcze sposobność ukształcenia umysłu swego, niechaj dni świąteczne i wolne wieczorne godziny przepędzają o ile można pożytecznie, niech starają się o dobre i przystępne książki; sami zaś panowie majstrowie niechaj dają im z siebie dobry przykład, a to radą, to wynagradzaniem tych, co uczciwie i pożyteczniéj prowadzić się będą, niechaj zachęcają młodzież do dobrego, — a tak postępując rzemieślnicy, zapracują sobie nietylko na chleb, ale i większe poważanie u ludzi!"

—„Dzielnie!—doskonale!" krzyknęli słuchacze „pan Paweł mówi jak książka, a trafia do serca i przekonania, jak spowiednik.— Warto, warto, rozpocząć poprawę tym, którzy są dotąd w grzechu.

—„A cóż na to p. Krzysztof? zwrócili się jednogłośnie z zapytaniem do zamyślonego kolegi.

Pan Krzysztof zamiast odpowiedzi, uścisnął rękę pana Pawła, i pokiwał głową.— Co dało powód do żartobliwych przycinków, dowcipów i śmiechów, które towarzyszyły panu Krzysztofowi aż do saméj Warszawy.

Ogłoszenie.

Podaje się do powszechnéj wiadomości, że w Zakładzie pod nazwą św. Wincentego a Paulo przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527, wyłącznie dla dzieci biednych rzemieślników i służących, otwartym, a zostającym pod kierunkiem JW. Hr. Alexandry Potockiéj, na posiedzeniu w wigilią Znalezienia św. Krzyża, tojest dnia 2 maja r. b. jako w rocznicę założenia powyższéj Instytucyi, pod prezydencyą JW. Alexandry Petrow, w obecności członków Zarządu odbytem, wylosowaną została do przyjęcia w Przytułku, Petronela Woźnicka dziewięcioletnia— córka Adama wyrobnika zmarłego — przy ulicy Chłodnéj pod Nr. 766 zostająca.

Wedle poprzedniego ogłoszenia, została ona przyjętą do zakładu w dniu losowania. Zapis na kandydatki zamyka się nateraz, o rozpoczęciu się zaś nowego, w swym czasie doniesionem będzie.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 16 (28) Maja 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.